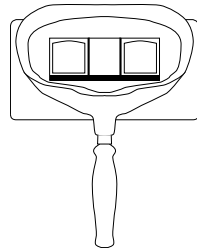


E. Selwisch

FOTOPLASTIKON
JACEK DEHNEL





F O T O P L A S T I K O N

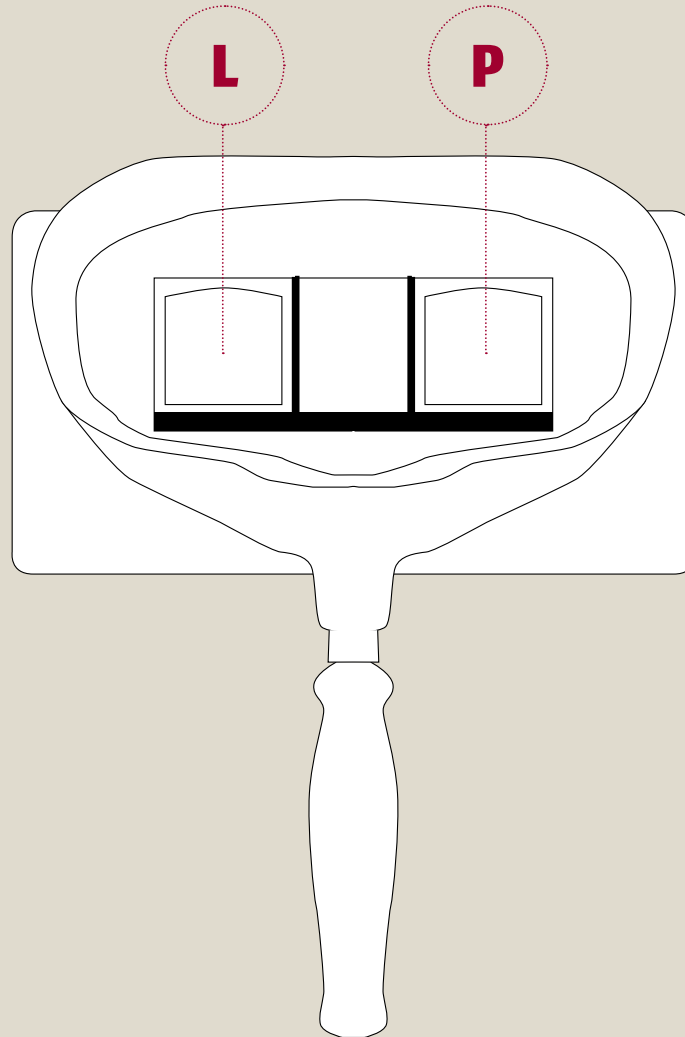
JACEK DEHNEL

F O T O P L A S T I K O N

Małgorzacie Grąbczewskiej, w stronę fotografii



Fot. Paweł Żak



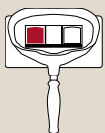
Stereoskop Holmesa

przyrząd optyczny do oglądania specjalnych podwójnych fotografii stereoskopowych, dzięki któremu z dwóch osobnych obrazów (lewego i prawego) powstaje jeden, sprawiający wrażenie trójwymiarowego. Skonstruowany w 1861 roku przez O.W. Holmesa, amerykańskiego pisarza, anatoma i lekarza, zastąpił wcześniejsze stereoskopy Wheatstone'a (1838) oraz Brewstera (1848) i stał się nieodłącznym elementem mieszczańskiego salonu II połowy XIX wieku.

N^o 01 L



Gównu chłopu, nie zegarek



N^o 01 L Wszystkoście pomieszali, gamonie. Patrzymy na was, wszyscy trzej, dwaj stojący po bokach i ten, który siedzi w środku, najstarszy, najgodniejszy z nas, i widzimy to z całą przenikliwością. Straciliście miarę, wyciągając łapy po czarną skrzynkę, do której wiedzący zaprasza światło. Straciliście miarę, miniaturyzując ją, produkując w setkach, w tysiącach, w milionach egzemplarzy, sprzedając za grosze, na wypródki, byle komu, pozbywając się najpierw szklanych negatywów, a potem jakiegokolwiek kliszy, montując ją w telefonach komórkowych i rozdając bez umiaru gówniarzom w garniturkach od pierwszej komunii. Nie robicie fotografii. Pstrykacie fotki, nieskończone ilości fotek, fotkipeel, fotki-foczki, fotki-idiotki, zamazane, nieostre, krzywe, niedoświetlone lub przepalone, z przypadkowym fleszem, brudne, nieudolne, zdradzające całą brzydotę i prowizoryczność świata: obierzyny na ku-

chennej podłodze widoczne w odległym prześwicie, rąbek foliowej torebki przytrzaśniętej szufladą, zaciek na ścianie, krzywo powieszony landszaft.

Kto myśli, że to źle skadrowane albo przypadkowo nieprzycięte zdjęcie, myśli głupio. To my, z zamkniętymi ustami, mówimy do was przez bezmiary czasu, z powagą naszych siwych czaszek i siwych wąsów: fotografia nie ma przedstawiać tego, co jest, ale to, co być winno. Nie las, z jego suchą ściółką, byle jak rozrzuconym igliwem, białymi plamami ptasich kup na liściach klonu, butwiejącymi grzybami, niewidocznym horyzontem, ale obraz lasu: pięknie skomponowaną grupę drzew, dostojny prześwit, odległe łąki i pola. Dziupłę, z której za chwilę wyfrunie ptak, ślicznie ubarwiony i śpiewający.

Stamtąd, dokąd doszliście, gamonie, nie ma już powrotu do piękna.

N^o 01 P



Ujazdówek



Jest ich czterech, ale liczy się tylko jeden: ani krótko ostrzyżony chłopiec w białej koszuli, do której od razu biegnie oko, bo zawsze biegnie do światła; ani tamtych dwóch po bokach, którzy wyglądają jak legendarni bracia Sendecy, pieczętkarze, co to się razem powiesili, albo dwaj urzędnicy tego samego szczebla w dwóch konkurujących ze sobą kancelariach; ważny jest ten w środku, karzeł o kulach, z głową wciśniętą w ramiona, z przykrótkimi rękoma i nogami, z ustami wykrzywionymi smutkiem i wysiłkiem.

Za nimi dachy obejścia i płot z murowaną bramą, żeby było widać, że dwór, a nie wzbogacone chłopstwo – dalej jest dom, piętrowy, z suteroną i werandą, z gankiem obrośniętym bluszczem, z oleandrami w donicach, wnoszonymi na zimę do oranżerii. I znów, w całym tym ogromie murów, okien, zapuszczonego ogrodu i modrzewiowych gałęzi, w samym środku on – karzeł o kulach, w kapeluszu głęboko nasuniętym na ciężką głowę.

Schodziliśmy już z Koła – zresztą, robiło się późno, sprzedawcy pakowali książki do tekturowych pudeł, zsypywali sztuce do skrzynek, zawijali porcelanę i fajans w gazety; tu i tam ładowano na przyczepy większe meble: szafy, stoły, mahoniowe sekretarzyki i podrabiane gramofony, tłoczony w Indiach na wielką skalę. Tłum się przeredzał.

Schodziliśmy już z Koła i stanęliśmy na przystanku tramwajowym, czy raczej obok przystanku, bo na ławeczce zawsze siedzi cały rząd pijusów – część śpi, część gada, jakieś reklamówki mają, butelki, jakieś swoje sprawy. Więc my raczej z dala. Stoimy tak, czekamy na „13” albo na „23”, zerkamy dookoła i pod nogi – a tam, obok starych butów, czajnika i kilku niezwywanych książek (rozsypujące się wydania Putramenta, jeden z pieciu tomów Stendhala, wyraźnie po przejściach, podręcznik do geografii z lat osiemdziesiątych) leży plik fotografii spiętych gumką recepturką. Nic nie nadjeżdża, więc podnoszę je z ziemi i zaczynam przeglądać.

Nº 01 P



– A ta – mówię do Margot – wygląda jak siostra tamtej.
 – Nie, to ta sama.
 – Chyba nie. Zobacz, że łuk brwi inny.
 – Taki sam, tylko inne ujęcie.
 – Tak – odzywa się starsza pani, która sprzedawała zdjęcia, Putramenta, buty i czajnik – to jest ta sama osoba, moja mamusia. A ta po lewej to moja ciotka, Lena. A na tym zdjęciu są moi stryjowie, ten był chory na gruźlicę kości...
 I nagle wszyscy oni nabierają imion i nazwisk, miejsca zyskują nazwy, domy – historię. Matka, ciotka, stryjowie, majątek.
 – I pani tak to sprzedaje? Nie szkoda pani?
 – E, stara jestem, po mnie to pójdzie na śmietnik. A zresztą, mam w domu inne odbitki, tylko te podwójne sprzedają.

Ale kiedyś, dawno temu, dobrze ją wychowano i nie umiała kłamać.

A ja, bo tylko tyle mogę dla niej i dla nich zrobić, piszę:
Michał Olszak, botanik, na ganku w majątku Ujazdówek pod Ciechanowem.

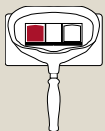
Stoją od prawej: Lucjan Olszak, producent win; Michał Olszak, botanik; Franciszek Olszak, ogrodnik.

Bosy chłopiec nie ma imienia, choć to jego koszula najbardziej przyciąga wzrok. Przed nim na kawałku papieru ułożono kamień, a może bulwę jakiejś rzadkiej rośliny – coś, co warto było upamiętnić zdjęciem, a co straciło znaczenie.



S. / 1907 Drogi
 Jedyny Kochany
 Henryku Proszę
 nieprzebrać się
 Cię nad ^{nie ośmielać się} uszytko
 jonyi dozwolnie gdyż
 jak nieprzyjdiesz
 to truchliw i le
 będy musiaku umiesz
 bez ciebie to jestem
 cieszko chorak i
 chłopot. Na ten
 czas niema bo
 przechali na wios
 Kuchnie i ja
 niemam kogo
 nawet pożegnać
 jak tyko aostre
 to poszła do zażyciu
 Własciowemu

Śpiesz do mnie



N 02 L Na pierwszym planie Ona: na ławeczce, w białej muślinowej sukience, z rozłożoną książką, z kwieciem (sztucznym) u stóp się płożącym, z dłońmi na sercu niewinnem – ale przecież przewiązana paskiem ciasno, żeby biust był lepiej widoczny. W lewym górnym rogu On: miniaturowy, wygarniturowany, ukapeluszony, z bukietem w jednej i laską w drugiej ręce; pojawia się w plamie ciemności jak anioł zwiastujący pasterzom (czy – raczej – Amor zwiastujący pastereczce). Dzieli ich napis *ŚPIESZ DO MNIE!* Litera o kroju, który Jej musiał się wydawać „prześliczny”, a Jemu – „dziewczęcy”.

Z tyłu krzywe, rozchwiane fioletowe pismo:

Dnia 7/14 17

Drogi Jedyny Kochany Henryczku

Proszę Cię nad wszystko (Przepraszam że się ośmielam pisać) pszyjć domnie gdysz jak nieprzyjdiesz to trudno Ale będę musiała umierać bez ciebie, bo jestem ciężko chora A Nikogo Na ten Czasz niema bo pojechali na wieś Rodzice A ja niemam kogo nawet pozegnać jak tylko siostrę co poszła do zajęcia

Wdzięcznemu Heńa

I nie mogę jej zobaczyć inaczej, jak tylko tak: poddasze, miednica na komodzie, metalowe łóżko z siennikiem, tania tapeta, gwoździe wbite w futrynę, krzyżek nad drzwiami, oleodruk. Z Matką Boską? Z Barką Miłości? Z Dzielnym Ułanem? W tym miejscu obraz się rozmywa. Niżej ona, Henia, na tym sienniku, w pocerowanej pościeli, chuda, z kosmykami włosów przylepionymi do czoła.

Jeszcze nie hiszpanka, nie w siedemnastym roku. Nie gruźlica przecież, bo Henryczek dowiedziałby się wcześniej. I z pewnością żadna z nagłych śmierci panien służących i robotnic – szpilka poniesiona z krwią do serca, wkręcenie warkocza w tryby maszyny, pożar hali. Jakieś zapalenie oskrzeli, jakieś zakażenie?

Siedzi oparta o poduszkę. Czy ma poduszkę? Może tylko o koc, poskładany, podłożony pod plecy, bo od ściany zimno ciągnie, choć to lipiec. Tani atrament, tania stalówka, tani papier – widać po konturach liter. Czy sama wybrała kartkę z takim napisem, czy kogoś poprosiła? Może tę siostrę, co to do zajęcia poszła?

On pracuje w innej części miasta, a może po prostu nie chce jej widzieć. Nie nosi kapelusza, nie kupuje bukietów sztucznych kwiatów. Bluzę ma szorstką i brudną od smaru, nie przychodzi, nie odpisuje, dopiero na pogrzebie płacze i zachowuje kartkę z napisem *ŚPIESZ DO MNIE!*

Zresztą, może nie jest robotnikiem, tylko subiektem, oficjalistą? Nie płacze na pogrzebie, kartkę przechowuje z nawyku przechowywania.

I nie mogę jej zobaczyć inaczej, jak tylko tak: w tanim peniarku, przy komodzie; z zacięciem stawia krzywe litery, wysuwając czubek malinowego języka spomiędzy ostrych ząbków. Jest gorąco. Te same sklezione kosmyki na czole; wachluje się złożonym w harmonijkę papierkiem. Ma dziś wolne, włoży odświętną spódnicę, kapelusik z papierową różą leży na łóżku.

Sama wybrała kartkę, ma ich pięć czy sześć, kupionych zawczasu. Ale ta nadaje się najlepiej: On jest mały i w cieniu, Ona duża i w bieli, ładniejsza, młodsza, z większym biustem. I litery, bardzo eleganckie – więc obraca kartkę i pisze, że chora, że nikogo.

Henryczek przyleci, z biura się zwolni, z za lady wybiegnie, z hali się wymknie. Ona go uspokoi, że to nic aż tak groźnego, że napad miała gorączki, ale to minęło i na lody by się wybrała.

Potem biorą ślub i mają dzieci, on jest mały i w cieniu, ona na pierwszym planie i coraz bardziej biuściata, przechowuje kartkę i opowiada dzieciom, a potem wnukom wstrząsającą historię: twardy siennik, bieda, ostatnie namaszczenie, drżąca ręka. On wpada, jej lepiej, ksiądz ich błogosławi; a to na wieczną rzeczcy pamiętkę.

N° 02 P



L'Inconnue de la Vistule





Postuchaj pan, panie podróżny, co się zdarzyło na Próżnej. Zdjęcie zrobił fotograf Rękaw w Zakroczymiu – ale po zygzakach konstrukcji, potrójnych łukowatych oknach, po półokrągłej wieżycy widać, że to Poniatoszcak, most warszawski, pod którym, na falach Wisły, wzburzonej jak w czasie roztopów, tych dwoje żegluje w łupince o nazwie „Kapitan”: on ją zabierał nieraz na łódki, a ona jego leczyła smutki.

Czyli to on miał być jej sterem, żeglarzem i okrętem – wieść przez życie, bronić od burz, przynosić białe kwiaty (ułożyła je na kolanach – to chyba floksy, więc sierpień; muszą mocno pachnieć w rozgrzanym powietrzu atelier Rękawa).

Piosenka chce trupa – pięknej dziewczyny, która przez niego siebie zabiła chociaż z miłości tańczyła, bo odszedł bez słowa kochanek podły, na nic się zdały płacz jej i modły; Ten delikatny uśmiech miałby się stać odbiciem inne-

go uśmiechu, odlanego w gipsie uśmiechu Bezimiennej z Sekwany, legendy pracowni malarskich, tłoczonych przez producentów łzawych bibelotów dla całej paryskiej i pozaparyskiej bohemy. Byłoby tak samo jak w tamtej legendzie: wyłowioną z Wisły gdzieś koło Cytadeli, przewieziono by ją do kostnicy, a tam jakiś sentymentalny lekarz, uwiedziony urodą pięknej samobójczyni, kazałby odcisnąć gładkie policzki w gipsie chłodnym jak rzeczne fale.

Ale oboje zdradza to rdzawe kółeczko nad stykającymi się głowami – ślad zostawiony przez pinezkę, która całymmi latami utrzymywała zdjęcie przypięte do półki nad łóżkiem albo boku szafy. W intensywności tego śladu widać przeciąg czasu, w którym ten gest – zetknięcie głów, objęcie ramieniem – miał znaczenie. Rude kółko, bardziej romantyczne niż cała ta sceneria: most z latarniami i wiślane fale, unoszące łódkę dla narzeczonych, wymalowaną w straszliwe, zaiste, zakrętasy.



Nº 03 L



Trzech panów w łódce



Zmierzch jest i chłód wieczorny idzie od wody; późne słońce kładzie się po niej gładko, jakby mleczarnia spuściła do rzeki całe zbiorniki; w głębi widać białe prostokąty w regularnych odstępach – plakaty na ogrodzeniu. Cały festyn, ze strzelnicą, straganami i wieczornymi tańcami w remizie, czy tylko regaty? Widzowie już poszli, zostały cztery małe sylwetki. Nie, pięć, jeszcze dziecko siedzące na skarpie. A może młoda dziewczyna w białej sukience.

Trzech ich siedzi w łódce, na tle rozlanego w wodzie światła i odbić drzew: blondyn w czarnej marynarce, szatyn z układanym kołnierzem i trzeci, w ciemnym garni-

f?

turze, pod krawatem, z włosami na brylantynę. Wygrali, przegrali? Nie mają żadnych wstęp ani pucharów – a resztą, może plakaty w oddali zupełnie czego innego dotyczą, może żadnych regat nie było, ot, zwyczajna popołudniowa wycieczka?

Żadne z trzech wiosł nie dotyka wody, jest doskonale gładka i odbija trzy sylwetki; jedną prześwietloną, jedną zacernioną przez brzeg odbitki, jedną skróconą o głowę, jakby coś poharatało powierzchnię szklanego negatywu; gdyby spojrzeli za burtę, zobaczyliby to dziwne zjawisko, przepowiednię, wróżbę. Ale oni patrzą w obiektyw, jeden się nawet uśmiecha.

Ł

№ 03 P



Stojące wody



Dwóch nagich mężczyzn i basen pełen ciemności. Jest początek wieku, Niemcy i Austriacy mają jeszcze swoich cesarzy. Doktor nauk medycznych Sigmund Freud od lat już przyjmuje w Wiedniu na Berggasse 19 (to stąd, z Lipska, naprawdę niedaleko, po Anchlussie będzie jeszcze bliżej) i niejedno mógłby o tym powiedzieć (tak się mówi, prawda? Nawet często, prawda? „Freud niejedno mógłby o tym powiedzieć”, „Ciekawe, co powiedziałby o tym Freud”, „O, Freud to miałby o tym sporo do powiedzenia” – zupełnie jakby Sigmund Freud był znanym mówcą, a nie, na przykład, pisarzem; jakbyśmy leżeli na kozetce, a on by szeptał do nas swoim spokojnym, pewnym, doświadczonym głosem, któremu możemy bezgranicznie ufać). Ale nie mówi nic. Niczego nam nie wyjaśnia, nie puści wiązki światła w głąb wód.

Światło i tak jest głównym bohaterem, jak zawsze. To, jak kładzie się na ciele, na ciałach, jak wydobywa z mroku jedno z nich, jak pogrąża drugie. Jak znika w głębinach. Jak przenika przez migawkę i odbija się na światłoczułej błonie albo szklanej płytce.

Widać niewiele: jakiś zaciek na ścianie, niską boazerię z drążkami, ceramiczną cembrowinę; po lewej ozdobny portal okalający wnękę, w której wisi jakaś szafeczka; może apteczka na wypadek czyjegóż zasłabnięcia albo rozbicia głowy o kafle.

W jakie głębokości mają zejść, bez przewodnika? Jakie stojące wody rozciągają się pod ich stopami, wiszącymi w pustce? Co w nich pływa, co się w nich rodzi i miota? Plankton, bakterie, piranie? Może wieczni tułacze, węgorze, które, zanim młody Sigismund Schlomo Freud odkrył ich gruczoły płciowe, zdawały się brać nie wiadomo skąd, przez co często porównywano do nich Żydów i Cyganów?

Jest tylko wilgotna ciemność, żadnych znaków – sami sobie musimy odpowiadać na pytania. Sigismund Schlomo – dlaczego badał węgorze? Oni – dlaczego chcieli pozować, we dwóch, nago, nad basenem mroku? Ten, który fotografował – czemu wykorzystał kliszę właśnie do tego ujęcia? Wszyscy, którzy patrzą na to zdjęcie – dlaczego widzą właśnie to, nie co innego; dlaczego pod powierzchnią ich mózgu, ciemnego basenu, pluskają właśnie te myśli, te skojarzenia?